

Jan Pieszczachowicz

Z teatru

Historia tragizmu i błazeństwa

Jest w tej sztuce cała przewartna dialektyka szwajcarskiego pisarza, znana dobrze polskiemu czytelnikowi z lektury, sceny a nawet filmu. Człowiek i jego dzieje jawią się Friedrichowi Dürrenmattowi jako splot paradoksów, które są połączeniem tragizmu i błazeństwa. U żadnego może ze współczesnych dramaturgów tragiczne i komiczne nie złączyło się tak ściśle i jednocześnie skomplikowanie. Nie prowadzi to jednak do absurdistycznego bełkotu. Umysł Dürrenmatta i jego konstrukcje są zwykłe piekielnie logiczne. Nieuchronność — losu prezentuje on nieomal jak sylizm, jak matematyczne przekształcenie — i ma wiele radości, kiedy rachunek się załamuje. Nie jest to jednak śmiech katastroficzny; wiele w nim racjonalistycznej pewności, że świat i jego bieg dadzą się jednak zdefiniować, choćby przez „reductio ad absurdum”. Nonsens ukazany w całej swojej krasie, jako ironiczna „zabawa”, nie przestaje być absurdem, ale traci swój demoniczny charakter, stwarza mimo wszystko jakieś przesłanki humanistycznej wizji rzeczywistości. Tak jest również w „Anabaptystach”, których krakowską premierę dał Teatr Stary, w reżyserii dyr. Zygmunta Hübnera.

„Anabaptysty” są „dramą” co się zowie. 20 obrazów, Brechtowski rozmach (także w inscenizacji), epickość pomieszana z

dramatyzmem. Kronika buntu anabaptystów miasta Münster i dzieje ich miniaturowego królestwa „nowego Izraela” posłużyły pisarzowi za odskocznię do wielu problemów, układających się jednakże w pewne ciągi. Sztuka nie jest łatwa do oglądania, czy do reżyserii: statyka zmusza realizatorów do dodatkowych wysiłków, aby jej dodać dramaturgicznej i wizualnej atrakcyjności. Mimo to śmiem wątpić, czy bez bardzo poważnych skrótów „Anabaptysty” mają szansę „bawić” widza w tym znaczeniu, w jakim przywykliśmy używać tego określenia, myśląc o atrakcyjności rozrywkowo-widowskiej. Nie ma co ukrywać: sztuka jest nieco nużąca, i najbardziej atrakcyjna inscenizacja do końca nie może tego przełamać.

Reżyseria Z. Hübnera balansuje pomiędzy chęcią stworzenia wielkiej metafory filozoficzno-historiozoficznej w stylu „serio” a skłonnością do groteski. Ponury żart historii — oto jak zwięźle można określić to, co oglądaliśmy w Teatrze Starym. Żart przeciw człowiekowi — a zarazem protest przeciw wszelkiego rodzaju „złej wierze” i

komedianetwu, które na arenie historycznej wydają krwawe owoce. Promotorem i świadkiem rozprawy przeciw złu jest cały tłum postaci, spośród których na plan pierwszy wybija się Johann Bockelson z Lejdy, „król” Münster. Doprowadził on swój lud do tego, co szwajcarski pisarz tak określa: „Najgorszy obrót, jaki może przybrać historia, to zwrot w stronę komedii”. Komedii, w której nie tylko Bockelson jest aktorem; ponurej komedii świata, nie umiającego (i nie chcącego) uznać wartości czysto, prawdziwie tragicznych, poprzez jakie jedynie manifestuje się ludzka godność w obliczu nielaskawej historii.

Teatralność wszelkiej władzy — jak wskazuje sam pisarz — znajduje w osobie aktorzy z Lejdy ponure uosobienie. Dołączają się do tego jego osobiste kompleksy: mania władzy i mania wielkości, podszyte niebawym cynizmem, który zjednuje mu dostojników cesarstwa i wróży dalsze sukcesy. I tu pretensja: niestety, Zdzisław Maklakiewicz nie udźwignął w pełni ciężaru swej złożonej roli. Popadał na przemian w tani

demonizm lub demonstrował skrajny kabotyzm bohatera — co w obu wypadkach jest prawdą tylko cząstkową.

Wszystkie niemal postaci „Anabaptystów” to ludzie, którzy świadomie oszukują lub ci, co są mniej lub więcej świadomie oszukiwani. Machina, jaką prezentuje Dürrenmatt, jest potworna; wciąga w swoje tryby wszystkich na zasadzie samoszustwa. Najbliżsi doradcy „króla” widzą jego cynizm, ale są mu posłuszni; lud zdaje sobie sprawę, kto nim rządzi, ale odprawia radosne i krwawe gry, a potem cierpliwie znosi nędzę; dostojnicy wystąpią przeciw prorokom z Münster, bo zagrożą to ich klasowym interesom, ale nie poskapią słów uznania dla ogromu kłamstwa i cynizmu Bockelsona. A sprawa „dobrej wiary”? Tej zabrakło wszystkim. Jakby szukali jedynie kogoś, kto weźmie ich „na kawał” szarlatanerii... Przeciw temu zwraca się szyderstwo i protest pisarza, i nie idzie tu bynajmniej o historię anabaptystów — ta jest jedynie pretekstem.

Wśród nader licznej obsady — wiele ról godnych uwagi, ale i

niemalo słabszych. Znów najlepiej wyszły epizody. Bardzo dobry Kazimierz Witkiewicz jako cesarz Karol V, Kazimierz Fabisiak — kardynał. Duże uznanie dla Jerzego Nowaka za rolę von Waldecka, stuletniego bez mała biskupa Münster; dla Wojciecha Ruszkowskiego za kreację Bernarda Krechtinga. Pospierałbym się chętnie z Antonim Pszonakiem, czy taki naprawdę ma być „nawróconiec” Knipperdolinck, czy nie trzeba było trochę pogłębić tej w końcu niezwyklej postaci. Bardzo „Brechtowska” Zieleniarka była Romana Próchnicka, a Wiktor Sadecki i Jerzy Binczycki stworzyli postaci żołdaków — von Bürena i von Mengerssena — krwście i z rozmachem. I jeszcze dwie role zupełnie niezłe wgrane: naiwny mnisek w wykonaniu Andrzeja Kozaka oraz Gresbech Aleksandra Fabisiaka. Bardzo dobra scenografia Andrzeja Cybulskiego — i sceny wręcz znakomite (narada u króla) obok zbyt „barokowych”, bądź nieco przewlekłych. W sumie jednak jest to na pewno przedstawienie, o którym będzie się mówić, z którym będzie się także spierać.

Friedrich Dürrenmatt: Anabaptysty. Reż.: Zygmunt Hübner. Scen.: A. Cybulski. Muz.: St. Radwan. Ukl. tańca: Z. Wicławówna. As. reż.: M. Dukiet i J. Binczycki. Teatr Stary.